Rozmaitosci.

Pismo to wychodzi w każdą NIEDZIELĘ, w Drukarni St. Gieszkowskiego.

Ner 17.

Prenumerata kwartalna, kosztuje Złp: 3.

Kraków dnia 27 Kwietnia 1834 roku.

MARYSIA Z ANDRYCHOWA.

POWIEŚĆ POLSKA.

—

Rozdział IV.

ZAZDROŚĆ UKARANA

A w około tey piękney anioła postawy,
Rzucił cienie jak z tęczy obloczek jaskrawy.
WORONICZ.

Posądzić kogo o jaki występek, niemając żadnych pewnych dowodów, na to tylko złe serce, — albo niedowarzona młodość, odważyć się potrafi.– Ale powziąść przeciw kochance, która już zaczarowała cię do szczętu swoją miłością, naymnieyszy promyk podeyrzenia, — jest to gorzey niż rozchorować się na zabijającą malignę! — W prawdzie mówią filozofowie, że tu rozum powinien zastąpić lekarza, ale gdzież go na ten czas znaleźć!! — Możnaż wreszcie pogodzić rozum z miłością? Nie jeden z biednych małżonków pysznił się jego przymiotami — wierzył swey drogiey połowiczce, — i został dudkiem! —

Po tey ostatniey *medytacyi* — wysunąłem nogę za progi mego sklepiku, — i tak jak żołnierz, w ogień nieprzyjacielski idzie na śmierć albo zwycięztwo, prowadzony od swych dowódców; tak ja *od mego szału pędzony, przebiegłem w oka mgnieniu te kilka kroków.*

Łytki drżały podemną, — alem już na nic nie zważał.— Stawam przed progami Marysi i widzę ją w teyże samey anielskiey, w tey czystey i niewinney postaci, jak była wczoray, — rozmawiającą z pazikiem, ale tak skromnie i w przytomności goralki, że w oka mgnieniu gotów byłem zapomnieć o truciznie która mnie pożerała. Niezmieszana moim widokiem, przeprosiła Pazia, że mu dopiero na jutro wygotuje rachunek, a gdy on pożegnawszy ją grzecznie odszedł, — przybliżyła się do mnie, i z w dzięcznym uśmiechem ścisła mnie za rękę. — »*Otóż jesteśmy sami*, rzekła pieszczotliwym głosem, jakby przeczuła moją rozmowę z Kasperkiem, i pragnęła rozproszyć smutek.— *Dla czegóż ta posępność na twarzy*?

Ja. Możnaż to zawsze bydź wesołym?

Marysia. Móy Boże! a cóż to Pawełkowi?

Ja. Tak, źle mi trochę na sercu... krew mi coś niestatkaje.... miewam czasem gwałtowne bicia; — ale się to powoli uspokoi, dla tegom wyszedł na ulicę, żeby trochę powietrza złapać.....

Marysia. *(bardzo troskliwie.)* Niechże Pawełek wniydzie daley.... *(biorąc mnie za rękę i widząc mały opór.)* Móy Pawełku!...»—

To słowo *Móy!*..... tak tkliwie, tak żałośnie wyrzekła, w oczach jey, taka czułość się malowała: że nawet przekonany o niewierności, niepotrafiłby jey się nikt oprzeć. Wszedłem więc, i posadziła mnie w krześle swoje-

go oyca. »Małgosiu! zawołała na góralkę, skocz no do apteki Wasilewskiego naprzeciwko, i przynieś owych kropli co to je móy rodzic nieraz bierze!

Ja. Ale nietrzeba, nie; już mi lepiey. Nic dziwnego; pierwszy raz w życiu niespałem przez całą noc, — nayprędzey więc może z tąd.

Marysia. *(po niejakim przestanku, niespuszczając mnie z oka.)* Ey!... mnie się zdaje, że Pawełkowi coś więcey nad to dolega... *(ściskając mnie za rękę:)* Ach! jakbym ja była szczęśliwa! gdyby mi swoją boleść powierzył, żebym ją dzielić mogła? Mnie się zdaje, że gdybym ja dziś miała jaką tęsknotę na sercu, toby tylko jeden Pawełek o niey wiedział....— *(widząc mnie w ciąż zasępionym i milczącym)* Boże! jakże każda godzina którą żyć zaczynamy, jest dla nas w swey przyszłości niedocieczoną?... Ja dziś miałam nadzieję, samę tylko radość dzielić z Pawełkiem, a on jest taki posępny, i skryty, że smutek swóy wyraźnie chce przedemną zataić.

Ja. Do czegóż się to przyda?...

Marysia. *(nieco przerażona.)* Nie tak wczoray rozmawialiśmy z sobą.

Ja. To prawda, że dzień wczorayszy był nayszczęśliwszy w mojém życiu...

Marysia. Skądże dziś tak nagła odmiana? *(puszczając mi rękę którą dotąd trzymała.)* Niepoymuję przyczyny.

Ja. *(z uczuciem.)* Niepoymuje Marysia? A gdyby też ona sama nią była?

Marysia. *(zdziwiona.)* Ja?.... a to jakim sposobem?...

Ja. Nigdym jeszcze niekochał.....

Marysia. *(przerywając)* J ja nigdy Pawełku!...

Ja. Biada mnie że tak sądziłem!...

Marysia. *(obrażona.)* Cóż to za podeyrzenie?... Dzięki Bogu, jeszcze nawet i żartem niesklamałam jak żyję.— Lecz wczoraysza rozmowa o Stefanie, zaczyna mi otwierać oczy.— Domyślam się o co idzie. Dobrze, niech tak zostanie. *(do swey góralki.)* Widzisz Małgosiu, na co mi wyszła moja szczerość porywcza?... Jastem podeyrzaną... o móy Boże!... *(płacząc)* bodayżem była niedożyła tey chwili!... Cóżbym to miała za przyczynę zwodzić kogo?... ja tego nieumiem!....

Ja. *(biorąc ją za rękę.)* Marysiu!... dobra Marysiu!

Marysia. Nie Pawełku, niechcę twego politowania. Za prędkośmy sobie poufali nawzajem, lepiey przeto za świeża, ten błąd płochości naprawić. Zadałeś mi głęboką ranę, ale ją ufność w Bogu i niewinność moja uleczy.— Łzy moje juz nienależą do nikogo.

Ja. Marysiu, posłuchay mnie dobrotliwie, a dopiero wyrzeczesz to, co ci twe serce doradzi. Ja w bawełnę nieumiem obwijać prawdy; to co czuję wynurzam, niepytając się czy to na dobre, albo na złe mi wyjdzie. Uyrzałem cię... i utraciłem wolność.— Jeden twóy uśmiech niewinny, jedno twoje dziewicze słowo: rozproszyłyzwszystkie zarzuty, o których mnie ludzkie języki uprzedzały przeciwko tobie. Wiesz z jaką ci szczerością wszystko wczoray wyznałem, i gdyś mi odkryła twe serce, przyrzekłem gardzić obmową.

Marysia. *(z powagą, którą mnie zrumieniła.)* Więc trzeba było przy tém zostać, i niewierzyć nowym podszeptom.

Ja. Pozwól dokończyć. Od ciebie moje szczęście, i moje życie jedynie dziś zawisło...

Marysia. Nie, już teraz nie!...

Ja. Więc będę milczał.— *(z goryczą.)* Jutro zaraz wrócę do Andrychowa....— niezostanę tu...— nieobawiay się natręctwa!—

Marysia. *(pełna żalu.)* Niechciałabym przynaymniey, żebyś o mnie w złey myśli się oddalał. Dla tego, pragnę wiedzieć, co mogło przyczynić się tak nagle do tey krzywdzącey odmiany?... Proszę Pawełka niech mi powie.— Przyrzekam na imie matki mojey, któréy pamięć jest mi naydroższą, że ktokolwiek mnie mógł oczernić, będę prosiła Boga, aby mu to przebaczył, tak jak ja mu z serca przebaczam.

Ja. *(niemogąc wstrzymać łez.)* Więc mnie oddalasz na wieki?... Niech tak będzie. Ja temu niewinienem, że ledwie powróciłem do domu, bolesne powitały mnie wieści: że

Marysia niechce znać stałey miłości; — że ją każdemu wyznaje, a dla nikogo nie jest czułą; — że jey od rana do wieczora przyjemne są hołdy młodzieży, i właśnie że ten Jegomość co dopiero z tąd wybiegł.... *(z przygryzkiem)* że ten Paź... jest nayszczęśliwszy z nas wszystkich....

Marysia. *(nagle.)* Dosyć tego! — Jestem płochą, niestałą. zalotną, może nawet szacunku już niegodną!.. Ale niech się Pawełek nietroszczy, — przyjdzie czas, że sam inaczey sądzić mnie będzie. — Tak, ten Jegomość co z tąd przed chwilą wybiegł nazywa się N. * * * — jest paziem J. K. Mości i bardzo często tu przebywa, to jest: ile razy potrzebuje pożyczyć, lub chce długu upłacić.... *(Otwiera stolik i wydobywa książkę.)* Znayduje się tu i więcey tych czcicieli i hołdowników, a nawet z połowa młodzieży, co wczoray z nami bawili. Niegodzi się poprawdzie stanu cudzey kieszeni zdradzać; ale ja mam więcey zaufania w poczciwości Pawełka, niżeli on miał w mojey.»

To rzekłszy, otworzyła książkę, porzuciła mi ją na stole, i niemogąc wstrzymać boleści która jey serce krajała, wyszła do przyległey izdebki. — Uyrzałem szereg młodych dłużników Pana Marcina, będącego jedynym w całey Warszawie lichwiarzem, co na *podpisanego* i bez *procentu* pożyczał. —

Małgosia. *(patrząc mi w oczy.)* A cóż teraz Pan Paweł na to?.,. A jakto można było tak bez namysłu wierzyć obmowie i posądzać?... To prawda, że niejeden z tych paniczyków młodych, wynurzał mojey Panience swą miłość; ale niech mnie Bóg skarze, jeśli który co do podobnego w spoyrzeniu nawet uzyskał, co Pan Paweł z ust wczoray odebrałeś! Biedna! zaledwo się uradowała nadzieją powiedzenia Panu Pawłowi tyle przyjemnych rzeczy, które odchodząc do miasta, usłyszała od oyca....

Ja. Przez Boga! mów, cóż takiego? —

Małgosia. Na co się to już przyda?

Ja. Miałażby Marysia nieubłaganą zostać? —

Małgosia. Znam ją od dziecka; — jak raz na przeciw komu żal poweźmie, to niepodobna ją nakłonić do pojednania. — Prawie jak tylko rozjechali się goście, tak Pan Marcin pijąc berberysowe ziołka, kazał panience siąśdź przy sobie i rzekł: »A wiesz ty co moja Marysiu? »Cóż tatulu? — *Notabene*, podobał że ci się »Pawełek? — Przyjemny chłopiec. — Kubek »w kubek jak oyciec, nieprawdaż? — O tém »nieumiem sądzić, ale zdaje się bydź samą »dobrocią i szczerością. — Ja też tak myślę, »a nawet i co więcey. Czy kochałabyś go ty »Marysiu? No! tylko bez ogródki. Mów śmia»ło. Dał nam Pan Bóg nielada mająteczek. »Pan Woyciech także nieubogi. Obojeście je»dynacy. Daley Marysiu co ty nato? — Ja »go już kocham tatulu! odpowie rozczulona »dziewczyna, kryjąc różane lica w jego dło»nie,) i on mnie nawzajem kocha. — Bogu »dzięki! Bogu dzięki! (rzekł stary, ocierając »łzy, co mu aż na wąsy ścieknęły,) toście się »widzę niedługo zgadywali. Niech cię Pan »Jezus błogosławi, kiedy tak; otóż to ja do»piero będę prawdziwie szczęśliwy, jak się do»czekam z ciebie Marysieńku...» — Hi, hi, hi, hi,

Ja. J czegóż się tak śmiejesz? —

Małgosia. Hi, hi, hi, hi!... bo powiedział: wnucząt!.. Oba z waszym rodzicem, dali sobie słowo, że was na przyszłe urodziny Pana Marcina pożenią?

Ja. Aż na przyszłe?

Małgsia. Ho! bo Pan Marcin, uchoway Boże! on ma ten dzień, wyjąwszy święta kościelne, za nayuroczystszy na całym świecie! W ten dzień nayprzód urodził się, to jasna rzecz; — w ten dzień powtóre, został dziedzicem dworku na Nalewkach; — w ten dzień brał ślub ze swoją śp. nieboszczką; — w ten dzień tonął na Wiśle i Pan go Bóg wyratował; — w ten dzień.... — Więcey już niepamiętam; dosyć iżby nigdy inaczey córki za mąż niewydał, tylko w ten dzień. *(wzdychając.)* Ale co teraz to może z tego nic nie będzie.

Ja. Któż to wie? Ja mam jeszcze nadzieję w moim szczerym żalu i dobroci serca Marysi.

Małgosia. *(z niepewnością.)* Day Boże, aby to co pomogło....» —

Lecz tu już niezważam na jey słowa, — i śpieszę do izdebki, — chcąc się rzucić do nóg Marysi. O Boże! w jakimż ją stanie znayduję?... gorzkich łez wylewającą strumienie! —

Rozumiałem, że mnie z pogardą odprawi będąc tak ciężko obrażona; — lecz gdy u nóg jey padłem, ona podniosła mnie dobrotliwie, i rzewnie płacząc rzekła: »Nie Pawełku! ja na

to nie zasługuję, abyś ty się aż do czołgania u nóg moich poniżał!... Ale cię na wszystko zaklinam, przestań już myśleć o mnie....— Niemoglibyśmy żyć szczęśliwi, kiedy pierwsze chwile zaprzyjaźnienia, tylu nas przeciwnościamy dotknęły. *Paź nayszczęśliwszy ze wszystkich!* zawszeby ci zatruwał ufność w twey towarzyszce.— Nowe pozory, możeby nawet i to osatnie uniewinnienie się przed tobą, które jey tyle łez wydarło, zniweczyć potrafiły! Widać żeśmy niebyli przeznaczeni dla siebie. Tak Pawełku, wczoray o tey godzinie uczułam pierwsze uderzenie serca dla ciebie:— dziś ta sama godzina, niech będzie świadkiem rozłączenia. Ty byłeś pierwszy i ostatni!.....»—

Po tych słowach zamilkła i twarz łzami zalaną ukryła w chustkę.... Stałem jak wryty,— w oczach mi się zaćmiło, — gwałtowna żałość tak mnie ścisnęła za serce, że z początku ni łzy uronić, ani słowa wyrzec niemogłem.

»Więc już na zawsze!.. po niejakiey chwili zawołam, na zawsze porzucasz mnie Marysiu... i wieczną dotykasz wzgardą! Nic że cię już wzruszyć niezdoła?... Także prędko zmieniłaś serce, zamiast raczéy ulitować się nad szaleńcem, który cię mimowolnie obraził?... —

»Serce dla ciebie zmienić?... o Pawełku!... tego ja nigdy niezdołam, odpowie dziewczyna ze łkaniem. Nie, niedowiesz się nigdy, ażedy inny prócz ciebie, znalazł do niego przystęp. —

»Tysiąc razy sroższe pociski zadajesz mi przez to wyznanie, Marysiu! Tyle czułości i dobroci, zgadzająż się z tém okrutném postanowieniém? Lecz zasłużyłem na to, rzekłem daley z ostatnią już rozpaczą i łzami, póydę i sam siebie ukarzę.... Bądź zdrowa!...

»Stóy Pawełku!»... drżąca zawołała Marysia — a w tym przybywa Pan Swierżawski, i widząc co się dzieje, temi słowy nas wita: »Dzieci, Bóg z wami! a cóż to za drama u licha? Milczycie jak zaczarowane figurki? Maryniu! cóż to ma znaczyć? —

Marysia. *(ocierając łzy.)* Nic to nic, Panie Swierżawski, zwyczaynie sobie rozmawiamy o naszych rodzicach, i wspominając ukochane osoby, które już dziś nieżyją....

Ja. *(z rozpaczą.)* Niewierz jey WPan Dobrodziey, niewierz okrutney dziewczynie! Oycowie nasi prawie już od dzieciństwa przeznaczyli nas dla siebie; wczoray pierwszy raz uyrzeliśmy się oboje, i od razu płomień czystey miłości, rozgorzał w sercach naszych. To prawda!... prawda, że moje szaleństwo, wieśniacza łatwowierność złym ludziom, przywiodły mnie do obrażenia Marysi natrętném wybadywaniem i niegodnemi przymówkami o zbyteczną zalotność i niestałość w kochaniu... i przyznaję żem na gniew jey zasłużył. Ale o Boże!.. kiedy błąd móy poznałem, kiedy ze łzami i rozpaczą błagam o przebaczenie!... gdziż się bydź nielitościwą? Sądź nas WPan Dobrodziey i jeśli uznasz mnie zasługującym na wieczną wzgardę za jeden błąd chwilowy, to niechże tu u nóg jey zginę!» —

To rzekłszy padłem znów na kolana i w śród bolesne łkania, oczekiwałem na móy wyrok.

Pan Swierzawski. *(do Marysi która jeszcze bardziey zaczęła płakać.)* Kochana Marysieńku! Czy prawdę on powiada? Jest że tak w samey rzeczy?...

Marysia. *(ledwie mogąc wymawiać.)* Tak.. prawdę.... Ja nieszczęśliwa!...

Pan Swierzawski. J na zawsze z nim chcesz się rozstać?... J do czegóż to podobne?..

Marysia. *(do mnie.)* Wstań! wstan Pawełku!

Pan Swierzawski. *(do mnie.)* Niewstaway! *(do niey.)* Marysienku! Tak śliczne i tkliwe łezki widzę w twoich oczętach, i tyleż zaciętości masz w sercu? Kto jak on, nad życie kocha, możeż niebydź troche zazdrosnym? A wreszcie wyznał błąd i u nóg twoich o litość żebrze.... *(biorąc ją za szyję.)* Marysieńku! dobre dziecie, będziesz że dłużey milczała?... Jużeż mu ten raz daruy!..... Spóyrz na mnie.... Ten co was wszystkich rozwesela, stary Swierżawski, rozczulił się widokiem biednego chłopca.... widzisz go, oto i on już..... tylko co się ma rozbeczyć.... a tyż jeszcze nieodpowiadasz?... *(Po niejakiey pauzie, widząc ją nakłaniającą się ku przebaczeniu,— mówi do mnie.)* Ale, ale, bośmy też może o nayważnieyszey rzeczy zapomnieli Pawełku? Prosisz jey o przebaczenie, a przyrzekłżeś poprawę?... Nic niemówisz? to pewnie o tém zapomniałeś. Kiedy tak, więc mów za mną.— *(Widząc wypogadzającą się twarz Marysi, mówi, a ja za nim.)* »Przyrzekam, poprzysięgam u nóg twoich Marysiu, nigdy w życiu »niebydź zazdrosnym i niewierzyć niczyim oczom, tylko własnym.»— No Marysiu? a czu już zgoda?...

Marysia. *(podnosząc mnie i przyciskając z uśmiechem Anioła, pełno jeszcze łez mając w oczach.)* Już zgoda!...

O wy! którzy niedoznaliście nigdy tey nieporównaney roskoszy jaką pojednanie dwóyga kochanków sercom rozczulonym przynosi; którzy niebyliście wzruszonemi świadkami tey sceny duszę porywającey: niedotykaycie świętokradzką dłonią pędzla ni lutni; — nie dla was imie poety i malarza. Obrazy i rymy wasze przeżyją sławę, którey się mierność bezczelnie dobijać śmiała, i znikną razem z wami w otchłaniach niepamięci! —

KONIEC ROZDZIAŁU IV.